

## **Małgorzata Maciejewska**

### **Zemsta**

#### **I**

Agata uważnie popatrzyła na swoje dzieło.

Nie było źle. Okna i szyby w witrynach lśniły, kolekcja ulubionych szklanych drobiazgów błyszczała. W starannie wyfroterowanej podłodze można by się przeglądać. Kwiaty doniczkowe, których mnogość zwykle przerastała jej możliwości pielęgnacyjne, tym razem zostały odkurzone, nabłyszczone i podlane.

Otworzyła kolejno wszystkie szafy – garderoba posegregowana według kolorów, poukładana, jak nigdy dotąd, pod sznurek. Książki, ustawione tematycznie, wypełniały półki karnymi szeregami. Nieskazitelnie odprasowany błękitny obrus rozpościerał się bez jednej zmarszczki na stole, którego centrum zdobił bukiet chryzantem i róż w ciepłych barwach żółci i pomarańcza.

Zajrzała do kuchni. Zastawa, garnki, sztucze – wszystko umyte i pochowane. Kafelki przetarte, na zlewozmywaku ani kropelki wody. Wykrochmalone ściereczki wyglądały na nieużywane. Kolorowe fajansowe doniczki z ziołami na parapecie tworzyły wesołą barwną plamę w beżowo-brązowym wnętrzu. Sprawdziła, czy w lodówce pozostały tylko produkty o długim terminie przydatności do spożycia. Stojąc w drzwiach kuchni, zlustrowała przedpokój.

„Jest okej” – oceniła. Lustrzane drzwi szafy nie nosiły, jak do niedawna, śladów linii papilarnych domowników, na terakocie nie było ani ziarenka piasku, kuty kwietnik w kształcie klatki na ptaki oplatał bluszcz.

Rzuciła okiem na sypialnię syna. Tam również gościł niecodzienny porządek.

„Ciekawe, jak długo tak będzie” – pomyślała. Na koniec weszła do swego małego pokoju, który odziedziczyła po wyjeździe córki. I tutaj panował ład. Na biurku, zamiast piętrzących się zwałów papierysk, leżał schludnie ułożony stosik czystych kartek i zamknięty laptop. Tapczan, przykryty ręcznie dzierganą kremową narzutą, przypominał gofra z warstwą bitej śmietany, a nie jak zwykle – garażową wyprzedaż ciuchów.

Pistacjowa zieleń mebli wydawała się niemal nieprzyzwoicie wesoła. I tu, jak w całym domu, unosiła się mieszanina zapachów środków czyszczących z dominującą wonią cytryny.

Agata jeszcze raz obrzuciła wnętrze uważnym spojrzeniem. Tchnęło nienaturalnym ładem, jakby dopiero oczekiwało mieszkańców, jakby dotąd nikt z niego nie korzystał.

„W sumie porządek jest strasznie bezosobowy – stwierdziła. – Ciekawe, dlaczego wszyscy tak o niego dbają? Przecież dopiero bałagan podkreśla indywidualizm”.

To nie była jednak dobra okazja, aby próbować zaznaczyć swoją odrębność. Agata weszła do łazienki, żeby wreszcie zająć się sobą. Odruchowo poprawiła ręczniki, nalała do wanny płynu do kąpieli i odkręciła kurki z wodą.

Z przyjemnością zanurzyła się w gorącej, pachnącej jaśminem pianie, rozsmarowała na twarzy maseczkę i na chwilę przymknęła oczy. Starła się nie myśleć o tym, co ją czeka, lecz raczej przywołać miłe wspomnienia. Pod wpływem nagłej zachcianki wstała, owinęła się szlafrokiem i poszła do kuchni, skąd wróciła z odtwarzaczem CD i kilkoma świeczkami o zapachu wanilii i jaśminu. Zapaliła je kolejno w lichtarzykach z grubego, prostego szkła stojących na półeczce nad wanną. Włączyła płytę z balladami.

Ponownie zanurzyła się w kąpieli, dołała ciepłej wody i przymknęła oczy... Słodki zapach świec oraz dźwięki muzyki uspokajały ją i nastrajały refleksyjnie. Leżała tak długo, aż woda wystygła. Z głośników dobiegały dźwięki *Skrzyпка Hercowicza*. Rozleniwiona sięgnęła po szampon, umyła włosy i wyszła z wanny. Wmasowała balsam do ciała i czekając, aż się wchłonie, wytarła starannie wannę, armaturę i kafelki.

„Kurczę, niedobrze, staję się czystościoliczką – przemknęło jej przez myśl. – A może to początek natręctwa, obsesji, nerwicy... A co mi tam, jakie to ma teraz znaczenie?”. Wzruszyła ramionami, jakby sama się dziwiła, że tego typu absurdalne problemy goszczą w jej głowie. Wysuszyła włosy; starała się nadać im kształt, jaki tydzień temu wyczarował mistrz fryzjerski – niestety, rezultat był daleki od pierwowzoru. Przez chwilę jeszcze walczyła ze szczotką, pianką, suszarką, po czym zrezygnowana sięgnęła po grzebień i z jego pomocą ułożyła włosy, jak potrafiła najlepiej.

Nałożyła na twarz lekki makijaż, za to obficie skropiła się ulubionym zapachem Issey Miyake i włożyła bieliznę, tę „na wyjątkowe okazje”. Przecież to była wyjątkowa okazja.

„Bardziej wyjątkowa już mi się nie trafi” – stwierdziła Agata z nagłym żalem. Wyjęła nowiutkie pończochy i ostrożnie je naciągnęła. Chwilę stała przed szafą, zastanawiając się nad wyborem sukienki. Najpierw sięgnęła po małą czarną – bezpieczną i nijaką – ale zaraz pod wpływem impulsu zdecydowała się na dość ekstrawagancką, czerwoną.

„Przynajmniej będę się wyróżniać z tej szarzyzny” – pomyślała z wisielczym humorem. Uważnie zbadała swoje odbicie w lustrze i prawie zadowolona z efektu uśmiechnęła się do siebie.

Włożyła do szklanki kostki lodu, naalała džinu i uzupełniła tonikiem. Po chwili dodała plasterk limonki. Z drinkiem i popielniczką usiadła przy biurku. Włączyła komputer, zapaliła papierosa i po raz kolejny skupiła się na tym, co jeszcze zostało do zrobienia. Chwilę walczyła z chęcią oddania się bezproduktywnym pogaduszkom na Gadu-Gadu, ale ograniczyła się do pozostawienia kilku wiadomości, a następnie zajęła się pisaniem maili.

Nie bardzo jej to szło. Kilka razy kasowała i zaczynała od nowa. Starannie dobierała słowa, bezlitośnie unikając przymiotników.

„Żadnych emocji – nakazała sobie w duchu. – Tylko suche fakty”. Gdy skończyła, przeczytała każdy mail jeszcze raz i pospiesznie kliknęła „wyślij”, jakby w obawie, że się rozmyśli. Klamka zapadła, już nie było odwrotu. Wykasowała wszystkie prywatne pliki, zlikwidowała archiwum i wyczyściła historię przeglądarki, pousuwała osobiste dane. „No, tu też porządek” – uspokoiła samą siebie. Sącząc powoli drinka, jeszcze raz się zastanowiła, czy o niczym nie zapomniała. Telefon. Tak, trzeba wyłączyć telefon. Przez chwilę nerwowo szukała go w torebce.

Zawsze to samo, nie można go znaleźć, gdy jest potrzebny. O, wreszcie. Dłoń trafiła na prostokątny kawałek metalu. Esemes, dwa nieodebrane połączenia... Nawet ich nie sprawdzisz, wcisnęła przycisk „kasuj wszystko”, a potem „wyłącz”.

No to pozamiatane, pozostało tylko czekać. Szeroko otworzyła okno i wpatrzyła się w światła miasta migocące w listopadowym mroku. Toruńskie blokowisko znacznie korzystniej prezentowało się po zmierzchu. Ciemność miękko otulała nieciekawą architekturę, kryła ubóstwo krajobrazu, zacierała niedostatki rozwiązań urbanistycznych i ukrywała wszechobecny za dnia brud oraz rozgardiasz. Z okien wesoło sączył się wielokolorowy blask o różnej intensywności. Na tę wysokość uliczny zgiełk dobiegał w formie niewyraźnego szumu, co niezmiernie Agatę cieszyło. Nigdy nie była zwolenniczką ani nadmiernych decybeli, ani tym bardziej głuchej ciszy.

„Jak ludzie mogą mieszkać na wsi? – zastanowiła się. – Przecież o tej porze dnia i roku musi tam być przerażająco ciemno i samotnie. Czy naprawdę można to polubić?”.

Gdzieś w dali jękliwie zawodziła syrena, znacznie bliżej buchnęła nagle głośna muzyka. Imprezka – pewnie ktoś otworzył okno, aby wypuścić kłęby dymu, a może i ostudzić nagrzaną alkoholem atmosferę. „Ale ten wieczór się dziś dłuży – pomyślała z niesmakiem Agata. – Chyba wypiję jeszcze szklaneczkę”. Hojnie nalała alkoholu i dodała toniku, tym razem nie zwracając sobie głowy lodem i limonką.

Pierwszy łyk przyjemnie ją rozgrzał, chociaż do tego momentu wcale nie zdawała sobie sprawy, że ogarnął ją nie tylko listopadowy mrok, lecz także ziąb. Po następnym łyku nie czuła już chłodu napływającego przez otwarte okno. Spokojnie patrzyła na linie wyznaczone przez rzędy ulicznych latarni, na tańczące w kałużach refleksy rzucane przez światła aut. Minuty mijały. Wreszcie ruch na drodze ustał, a jednostajny hałas przycichł.

No, w końcu. Odetchnęła z ulgą. Przez cały czas podświadomie obawiała się, że coś może jej przeszkodzić, ale teraz już wiedziała, że plan się powiedzie. Usiadła na parapecie i zwiesiła nogi na zewnątrz. Na dłoń wysypała przygotowane wcześniej tabletki, popiła je kolejnym łykiem džinu. Wiedziała, że za chwilę zaczną działać, a wtedy nieświadoma niczego zsunie się z wysokości trzydziestu metrów, z prawie stuprocentową pewnością całkowitego roztrzaskania się na betonie. Ostatnią przytomną myślą Agaty było to, że szkoda nowych lakierowanych szpilek. Choć pewnie i tak na nikogo by nie pasowały.

## II

Liza Szruber wsłuchiwała się w dźwięki *Ciszy* granej na trąbce, równie przenikliwe jak zimno, które wdzierało się pod jej elegancki skórzany płaszcz. Długo się zastanawiała, co na siebie włożyć. To był dla niej ważny dzień i chciała wyglądać pięknie, ale знаła toruński cmentarz komunalny i wiedziała, że mocno ją przewieje, a zaczerwieniony nos nie dodaje uroku. Nie chciała też przesadzić z manifestowaniem rozpaczy, której absolutnie nie czuła. Wybór padł więc na szary, miękki, wiązany w talii płaszcz i popielate botki na niewysokim obcasie. Surowe kolory przełamała fantazyjnie zawiązaną apaszką w kolorach gołębiego błękitu, turkusowej zieleni, bladego różu i oranżu. Teraz

mocno żałowała, że nie włożyła czegoś na głowę, ale szkoda jej było nowej fryzury, którą pani Jola z Laurenta wykreowała dziś rano. Choć przyoblekła twarz w wystudiowany okolicznościowy smutek, nie potrafiła zgasić błysku triumfu w oczach. Zwyciężyła, i to zupełnie niespodziewanie. Ostatnia przeszkoda na drodze do szczęścia runęła. Dosłownie, runęła z dwunastego piętra, i nic już nie pokrzyżuje planów Lizy.

– Albowiem śmierć jest początkiem nowego życia...

„Co ten klecha pieprzy?”. Choć nie, to miało sens... Śmierć Agaty była zapowiedzią nowego życia – nowego życia Lizy. Swoją drogą rodzina zmarłej musiała mieć niezłe chody, skoro samobójczynię chowają z księdzem i wszystkimi szykanami.

Dyskretnie przyjrzała się zgromadzonym na cmentarzu żałobnikom. Zaskoczyło ją to, że było ich tak wielu. Jak na zwykłą kurę domową Agata miała zadziwiająco dużo znajomych. I chyba ją lubili, skoro chciało im się przyjść w taką pogodę. Liza powiodła wzrokiem po grupie trzymających się blisko siebie mniej więcej pięćdziesięcioletnich kobiet. Wszystkie były ubrane na ciemno, jednak z klasą i zgodnie z najnowszymi trendami.

„Prawdopodobnie koleżanki jeszcze ze szkoły lub studiów. To dla nich jedna z nielicznych okazji, aby się pokazać” – skonstatowała lekceważąco Liza. Obok stało sporo młodzieży – być może dawni uczniowie, wychowankowie albo przyjaciele dzieci. Kilka osób przysłuchiwało się słowom księdza w pewnym oddaleniu. Liza ze zdziwieniem zauważyła wiele znanych twarzy. Jak to możliwe, by Agata miała takie koneksje? Liza nie podejrzewała jej o to. A może to raczej znajomi Jacka. Przyszli tu dla niego, nie dla niej.

Przesunęła się nieco do przodu, klnąc pod nosem, bo czubki butów niebezpiecznie pogrążyły się w lepkim błocie. A niech to! Ale nowa pozycja pozwoliła na obserwację osoby, która interesowała ją najbardziej. Nad otwartą mogiłą stała rodzina. Liza na dłużej zatrzymała wzrok na wysokiej męskiej sylwetce. Wiele by dała, żeby móc być razem z Jackiem, trzymać go za rękę, spojrzeć mu w oczy. Zastanawiała się, co on teraz czuje. Ulgę, że uwolnił się od niewygodnej małżonki? Wdzięczność, że usunęła się sama? Złość, że odeszła w taki właśnie sposób, czym zapewniła sobie sympatię i współczucie, a jego zostawiła z piętnem winowajcy? Liza usiłowała sobie przypomnieć ton jego głosu, gdy tydzień temu zadzwonił późną nocą i krótko powiedział:

– Agata popełniła samobójstwo... Nie zobaczymy się jutro, Lizaczku, mam wezwanie do prokuratora i muszę zająć się pogrzebem, sama rozumiesz.

Wiadomość spadła tak nagle, że Liza nie uświadomiła sobie wtedy w pełni, jak bardzo przybliżyła się do wymarzonego celu, jakim było wydanie się za Jacusia. Teraz miała już jasną i wyraźną strategię działania.

Niczym na szkoleniu menedżerskim... Analiza, wnioski, działanie, postanowienie. Przed oczyma zobaczyła strzałki zogniskowane na haśle „cel”. Nie bez przyczyny była cenioną specjalistką od marketingu i sprzedaży. Jeśli potrafiła odpowiednio zareklamować klientom niezbyt korzystne produkty bankowe, to tym łatwiej sprzeda doskonały towar, którym jest ona sama.

„Teraz wszystko pójdzie jak po sznurku – pomyślała z satysfakcją. – Agata sama usunęła się z drogi. Skończy się wieczna wymówka, że Jacuś po prostu nie może się rozejść z żoną”. Zresztą wyjście za wdowca będzie znacznie korzystniejsze niż

poślubienie rozwodnika. Wszystko wspaniale się składało. Teraz tylko musiała odczekać stosowny czas. Hm, jaki czas jest w takich okolicznościach stosowny? Wszystko jedno, musiała postępować tak, aby Jacek uświadomił sobie, że życie bez Lizy, bez jej stałej obecności, nie ma sensu.

To nie powinno być trudne, Agata ponadprzeciętnie rozpuściła Jacusia; nie miał pojęcia o praniu, prasowaniu, zakupach... Liza, oczywiście, nie zamierzała poświęcać życia na jego obsługę, do czasu zamążpójścia musiała jednak sprawiać wrażenie, że o niczym innym nie marzy.

Pogrążona w analizie zawłości uczuć i układaniu planów na najbliższą przyszłość, nie zauważyła, że uczestnicy ceremonii zaczęli się rozchodzić. Mijające ją osoby wymieniały uwagi ściszonymi głosami, witały się i żegnały, umawiały na spotkania. Właśnie przechodziła grupka kilku kobiet, Lizę dobiegły strzępy rozmowy.

– To o osiemnastej, jak zawsze w Kurantach – mówiła drobna brunetka w grafitowym płaszczu o odważnym fasonie i ekstrawaganckim kapelusiku.

– Oczywiście – przytaknęła szeptem zgrabna, zadbana blondynka. Liza zwróciła uwagę na fenomenalną torebkę, która przyciągała wzrok kolorem nasyczonej śliwki.

– Słuchajcie – dodała szczupła, niska kobieta o krótko ostrzyżonych włosach w odcieniu ciemnego blondu, co rusz podnosząca do oczu chusteczkę. – Auta trzeba będzie zostawić w domu. Jak dostaniemy się z powrotem?

– Nie martwcie się, Marek obiecał, że po mnie przyjedzie – wtrąciła czarnowłosa. – Podrzucimy was. – Mocniej wcisnęła na głowę zrywany wiatrem kapelusz.

– No, jedna, co ma męża z sercem po właściwej stronie – rzuciła z zadowoleniem wysoka blondynka.

– To do wieczora, muszę lecieć, urwałam się z roboty – ucięła rozmowę kolejna, postawna brunetka lekko skrzywiona pod ciężarem laptopa w pokrowcu z logo znanej kancelarii. – Ciężkie to cholerstwo jak nie wiem co – poskarżyła się.

– To po co go dźwigasz? – mruknęła blondynka.

– Bo nie będę ryzykować włamki, a poza tym chyba jestem uzależniona od targania tobołów. W poprzednim życiu musiałam być jucznym mułem. Na razie. – Szybkim krokiem ruszyła ku wyjściu.

Liza kątem oka zarejestrowała następną idącą w kierunku bramy wyjściowej grupkę osób, które cicho komentowały kończącą się uroczystość.

Nad świeżą mogiłą stała już tylko najbliższa rodzina przyjmująca ostatnie kondolencje. Liza przypomniała sobie o białej róży, którą miała zamiar położyć na stercie kwiatów, zaścielających świeżo usypany kopczyk, ale poczuła, że podejście do grobu i wystawienie się na spojrzenia innych jest ponad jej siły. Niby obecność Lizy nie powinna nikogo dziwić, była w końcu podwładną Jacka. Skoro jednak nie podeszła razem z delegacją z banku, teraz mogłoby to nasunąć jakieś podejrzenia, a tego wolałaby uniknąć. Nikt chyba nie orientował się w łączących ich stosunkach; starannie się z nimi kryli.

Odwróciła się i położywszy kwiat na pierwszej mijanej płycie, szybko skierowała się ku zaparkowanemu przed cmentarną bramą samochodowi. Nie zwracała już uwagi na błoto oblepiające jej sztywne botki, chciała tylko jak najszybciej stąd odjechać. Oby nikt znajomy nie poprosił jej o podwiezienie do centrum. Nie miała ochoty na towarzystwo.

Dopiero w aucie poczuła dreszcze. Sama nie wiedziała, czy to skutek emocji, czy przemarznięcia. Liza przekręciła kluczyk, włączyła ogrzewanie. Wróci do domu, przebierze się i pojedzie do pracy, aby w ciszy swojego gabinetu spokojnie pomyśleć o przyszłości. Polowanie się rozpoczęło i Jacek nie mógł się dowiedzieć, że to ona jest myśliwym.